

Włochy – Monte Bianco

25.07.2009 – sobota – START

Po kilkunastu godzinach od wyjazdu z Wrocławia dojeżdżamy na parking w dolinie Val Veny. Już tutaj zastanawiające jest zaskoczenie pracowników parku, którzy wydają się pierwszy raz słyszeć, że ktoś chce od tej strony wchodzić na Monte Bianco i nie mają pojęcia gdzie tu można zostawić na kilka dni auta. Wiedzą tylko tyle, że auta mogą tu zostać od 8 do 23 a poza tymi godzinami są odholowywane. Chłopaki jednak zdają sobie sprawę, że w ciągu jednego dnia nie da się wejść i zejść ze szczytu więc dzwonią do swojego szefa po radę. Od szefa dowiadujemy się, że po godzinie 17-tej możemy przejechać przez szlaban i pojechać jeszcze kawałek drogą w kierunku jeziora Combal. Upewniają nas także, że jedyne schronisko znajdujące się na naszej drodze jest nieczynne. Po przepakowaniu się, już wieczorem, startujemy w górę. Droga niczym do Morskiego Oka. Szybko dochodzimy do baru przy jeziorze Combal. Tu rozkładamy namioty.

26.07.2009 – niedziela – MINUS 3 DO MORALE

Zasuwamy po kamieniach na lodowcu Miage. Plecaki nas przygniatają do ziemi. Ale przynajmniej widoki piękne. Dookoła jezory lodowców. Po paru godzinach stajemy w labiryncie szczelin. Poszliśmy za bardzo w prawo. Szlak prowadzi gruzowiskiem bardziej po lewej stronie lodowca. Wtedy problem ze szczelinami jest naprawdę niewielki. Po przejściu lodowca wchodzimy w skały. Wąskie ścieżki, ekspozycja, łańcuchy i drabinki. Normalnie byłaby niezła zabawa, ale nie kiedy ma się na plecach wyładowany plecak. Dostajemy tak po dupie, że kiedy popołudniu dochodzimy do nieczynnego schroniska Gonella na wysokości 3071 m decydujemy się zostać na noc w oddanym do użytku schronie.

W ciągu dnia po drodze spotkaliśmy tylko dwie osoby. Był to

przewodnik z klientem. Weszli oni na Mont Blanc drogą francuską i z niewiadomych przyczyn postanowili zejść na stronę włoską. Od przewodnika dowiedzieliśmy się, że szlak którym szliśmy do schroniska jest zamknięty (na dole były tablice informujące, że przejście grozi śmiercią), a szlak przez lodowiec Dome... właściwie to nie istnieje. Wszelkie opisy w książkach i zaznaczona trasa na mapie są zupełnie bezużyteczne. Przewodnik oznajmił również, że w życiu nie widział tego lodowca w tak złym stanie i że jedyna nasza szansa na jego przejście to uważne trzymanie się śladów, które tam pozostawił.

No i na koniec informacja odejmująca -3 od morale grupy: podobno w tym sezonie jesteśmy jedynym zespołem, który próbuje dokonać wejścia tą drogą.

27.07.2009 – poniedziałek – ZWIADY

Rano wychodzimy na rekonesans. Po śladach pozostawionych przez schodzących tędy wczoraj dwóch mężczyzn próbujemy pokonać lodowiec. Nie jest łatwo. Ich ślady już są poprzecinane szczelinami. Okazuje się, że jest tak ciepło, że każdego dnia lodowiec wygląda inaczej. Niektóre szczeliny są tak wielkie, że trzeba iść od jednego brzegu lodowca do drugiego, żeby znaleźć przejście. Idziemy raz środkiem, raz lewym brzegiem, raz prawym. Klucząc w ten sposób posuwamy się uparcie do góry. Pamiętam sytuację, kiedy na wysokości ok. 3600 m. stanęliśmy, aby złapać oddech. Zacząłem się zastanawiać wtedy nad dziwną barwą śniegu, na którym stałem. Odwróciłem się do Marcina i zdążyłem powiedzieć tylko: „-stoję na szczelinie”. W tym momencie jedna noga całkowicie zapadła mi się pod śnieg. Machnąłem nią raz i drugi. Pod spodem pusto. Wbijam czekan w stok po drugiej stronie i na czworaka wygrzebuję się na drugą stronę szczeliny. Marcin ostrożnie podchodzi do krawędzi: „-miałeś szczęście, ma z 10 metrów”. Potem, gdy wracaliśmy, miałem okazję się jej przyjrzeć. W tym miejscu była wąska, niemniej zaklinowanie się nogami lub tułowiem po chociażby dwumetrowym locie... obrażenia murowane.

Jakoś udaje nam się dotrzeć bezpiecznie na przełęcz. Tu, na wysokości 3850 m. n.p.m. rozdzielamy się. Ja, Marcin i Tomek chcemy zbadać jeszcze fragment grani. Laura, Marek i Michał wracają do schronu.

Tego dnia pokonujemy jeszcze większość bardzo ostrej grani Bionnassay. Przekraczamy wysokość 4000 m. n.p.m. i uznajemy, że jak na rekonesans to zrobiliśmy całkiem sporo. Przecież przed nami już tylko niewielki odcinek grani, potem tylko trawers Dome Du Gouter i nasza droga połączy się z drogą francuską. Dojście tu jednak zabrało nam tak dużo czasu, że nie mamy wątpliwości, że trzeba założyć jeszcze jeden obóz – na lodowcu.

28.07.2009 – wtorek – PAN STANISŁAW

Jeszcze w poniedziałek wieczorem Marek rezygnuje z dalszej walki o szczyt drogą włoską. Jakkolwiek skakanie przez szczeliny go nie złamało, to gdy zobaczył sfotografowaną przez nas grań to stwierdził, że to już zbyt duże ryzyko. I trudno mu się było dziwić. Do wtorku do rana z dalszej akcji zrezygnuje także Michał. A Laura... dłuuuugo bije się z myślami. Decyzję podejmuje w ostatniej już chwili, gdy właściwie z Marcinem i Tomkiem jesteśmy gotowi do wymarszu. Idzie z nami.

Dzielimy się zatem na dwa nierówne zespoły. Ja, Tomek, Marcin i Laura trzymamy się pierwotnego planu i ruszamy po raz kolejny przez lodowiec. Marek i Michał – wcale nie mają zamiaru dać za wygraną. Pakują plecaki i ruszają na dół. Chcą jeszcze dziś przejechać do Chamonix, aby najpóźniej w czwartek spróbować wejścia na Mont Blanc drogą francuską.

A my, już po raz trzeci toczyliśmy walkę z lodowcem, który zdążył przez noc przygotować sporo niespodzianek. Przekraczanie nowych szczelin właściwie już nikogo specjalnie nie dziwi. Kluczając, omijając i przechodząc po zmrożonych jeszcze o tej porze mostach śnieżnych, po niecałych 4 godzinach docieramy na wysokość 3700 m. gdzie postanawiamy rozbić namioty. Chłopak

szybko rozkładają swój mały, ekspedycyjny namiot. Mi i Laurze idzie trochę gorzej. Nasz namiot przeznaczony jest raczej na działkę w bezwietrzną pogodę i niewielkie nawet podmuchy wiatru przygniatają go do ziemi. Wspólnymi siłami przymocowujemy go do podłoża. Laura – nie wiem skąd brała na to siły – uparła się, żeby zbudować wokół namiotu mur chroniący przed wiatrem. Kiedy już skończyliśmy z murkiem Laura wymyśliła, że trzeba ulepić bałwana. I tak powstał Pan Stanisław. Na wygłupach ze Staśkiem zleciał nam czas do wieczora. Humoru nie psuło nam nawet to, że czasem koło namiotu dziwnie zapadła się cała noga w pustkę pod śniegiem...

29.07.2009 – środa – ATAK SZCZYTOWY

O 3-ciej nad ranem wychodzimy w kierunku szczytu. Szybko wchodzimy na przełęcz. Potem wspinaczka po skałach a następnie pokonywanie – okrakiem lub idąc i balansując ciałem – ośnieżonej, niesamowicie ostrej grani. Większość tej drogi w zupełnych ciemnościach. Wraz z powolutku wstającym świtem z kierunku Mont Blanc nadjeżdża narciarz. Przejeżdża koło nas zaledwie parę metrów poniżej grani, i po niesamowitej wręcz pochyłości sunie na dół, gdzie tylko przepaść i lodowiec. Zniknął nam z oczu. Pomyślałem, że to samobójca. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że nie tylko przeżył ten zjazd, ale wcześniej zjechał z Dufourspitze, a z Mont Blanc natychmiast zostanie przetransportowany helikopterem na szczyt Matterhorn, aby zakończyć ten szalony projekt. Projekt zjechania na nartach z tych 3 szczytów w ciągu... 24 godzin.

Ale wracając do naszej wyprawy, powolutku, krok za kroczkiem posuwaliśmy się do góry. I tak przez kolejne kilka godzin. Najpierw tylko w towarzystwie naszej skromnej grupki, potem – powyżej 4300 metrów – kiedy nasza droga połączyła się z drogą francuską – w tłumie ludzi.

Ok. godziny 10:30 stajemy na szczycie. Tu Laura wysyła ostatniego smsa ze swojej komórki, gdyż ta wymyka się jej z kieszeni i sunie w dół po stromiźnie. Widzi to litewski

przewodnik. Łapie za dziabę i biegnie w dół torem spadającego telefonu. Pół godziny później wraca z... batonikiem. Telefonu niestety nie znalazł. Laura na pocieszenie dostaje owoc misji ratunkowej – czeski batonik. Jakby tego było mało – jeden z członków innej grupy zdobywców Mont Blanc wystawia tyłek i zaczyna robić na szczycie kupę. Laura zamiera w pół gryza pysznego jabłka. Oddaje mi go. Mówi, że to ostatnie jabłko w jej życiu.

Czas schodzić. I znów to mozolne przebieranie nogami. Co z tego, że w dół, kiedy jesteśmy dużo bardziej zmęczeni. Coraz większy upał, coraz gorszy śnieg. Problemy na grani, śnieg lepi się do raków. Jest niebezpiecznie, do tego dochodzi skumulowane z kilku dni zmęczenie. I tylko jedna myśl: żeby już się położyć w namiocie. No właśnie... w kwestii namiotów. Przyglądając się im gdzieś z wysokości 4000 metrów można było się mocno zaniepokoić. Z takiego dystansu śnieg wokół nich wyglądał jakby wszędzie po spodem były szczeliny. Kiedy dowlekamy się do nich, przed nami ciągle jeszcze kilka godzin upału. Leżymy nieruchomo. Zdajemy sobie sprawę, że lepszego miejsca na namiot w okolicy nie ma. A schodzić w takich warunkach także nie ma sensu. Wszystko wokół się zapada. Musimy poczekać do rana. Wtedy po zmrożonym śniegu uda nam się bezpieczniej dotrzeć do schronu. Nie wiemy wtedy jeszcze, że przyszła taka odwilż, że nawet tu na wysokości 3700 m. temperatura nawet w nocy nie spadnie ani na chwilę poniżej zera.

Wyczerpani leżymy i czekamy na dający ulgę cień. Taka wegetacja trwa do nocy. Albo śpią albo po prostu leżą nie mając ochoty na najmniejszy nawet ruch. Dopiero kiedy budzę się o 23-ciej, czuję, że jestem całkiem dobrze zregenerowany. Wychodzę z namiotu i niepokój ogarnia mnie na dobre. Okazuje się, że jest bardzo ciepło. Dookoła rozlegają się odgłosy zapadającego się lodowca. Powyżej nas wytapiają się i sypią lawiny kamieni. Niektóre z nich dotoczą się na kilkanaście kroków od namiotów. Poniżej – czyli na naszej trasie – ciągle

słyszeć jak coś się obrywa i wali. Z nadzieją, że nad ranem jednak będzie chociaż minimalny mróz kładę się spać.

30.07.2009 – czwartek – NAJLEPSZY PRYSZNIC W ŻYCIU

O 6-tej rano ruszamy by już po raz ostatni pokonać drogę przez lodowiec. Mrozu nie było. Nogi zapadają się w brei od pierwszych kroków. Lodowiec wygląda zupełnie inaczej niż ten sprzed zaledwie paru dni. Mamy jednak tę przewagę, że idziemy tędy czwarty raz, i do tego schodzimy, a schodząc łatwiej jest w razie czego wypatrzyć z góry nową drogą. Skupieni przechodzimy kolejne odcinki. W którymś momencie przy zeskakiwaniu z górnej wargi szczeliny pochylam się za bardzo do przodu i lecę głową w dół tocząc się po kamieniach. Szarpię za sobą Laurę. Obydwójgu udaje nam się jednak zatrzymać. Laura jest o krok od górnej krawędzi szczeliny, która jest w tym miejscu mocno wypłycona, jednak niekontrolowane loty przez nią niekoniecznie mogły się dobrze skończyć. Dochodzimy do ostatniego z takich kluczowych miejsc. Jest to największa na tej trasie szczelina. Szeroka na kilka metrów, głęboka momentami tak, że dna nie widać, i ciągnąca się w poprzek przez całą szerokość lodowca. A na jej drugim brzegu widzimy... czterech Anglików. Mimo pełnego oszpejenia i wyglądu zaprawionych w boju alpinistów mężczyźni klęczą od dłuższej chwili na brzegiem szczeliny. Bezradnie rozglądają się na lewo i prawo, lub po prostu zaglądają w zimną czeluść. Nie próbujemy jeszcze nawiązać z nimi kontaktu. Jesteśmy mocno skoncentrowani na tym, by znaleźć się po drugiej stronie tej lodowej przepaści. Jeszcze w poniedziałek obeszlśmy ją bez większych problemów z jednej strony. We wtorek przekroczyliśmy ją po sporym polu śnieżnym, który zmrożony po prostu wisiał w powietrzu nad szczeliną. Teraz jednak obejście jest mocno popękane a most musiał sił w nocy zawalić. Po kilkunastu minutach wychodzimy jednak szczęśliwie koło ostatniego trasera pozostawionego przez Anglików. Po tym co zobaczyli oraz po rozmowie z nimi nie są pewni czy wejście drogą włoską jest możliwe. Schodząc widzimy, że tkwią ciągle w tym samym

miejscu. Decyzję pomaga im podjąć huk pękającego i spadającego gdzieś w okolicy fragmentu lodowca. Kilkanaście minut po nas są już w schronie i pakują sprzęt. Gratulują nam. Oni co najwyżej spróbują wejść normalną drogą od strony francuskiej. Myślę, że na ich miejscu zrobiłbym to samo. Można wprawdzie stwierdzić, że jakaś droga przez lodowiec się przecież zawsze znajdzie, ale to wszystko zabiera zbyt dużo czasu i sił, żeby jeszcze tego samego dnia zdobyć szczyt i wrócić, a noclegu w takich warunkach nikomu nie życzę.

Na szczęście to już za nami. Teraz tylko bezpiecznie zejść po skałach na morenę lodowca Miage, po której czeka nas długie człapanie do jeziora Combal.

W czasie kiedy my kończąc naszą przygodę zbliżaliśmy się do cywilizacji, Marek i Michał walczyli z drogą Gouter. I bynajmniej nie można tego nazwać pójściem na łatwiznę. Przecież jeszcze dwa dni wcześniej byli powyżej 3000 m. po włoskiej stronie. Samo dotarcie pod schronisko Tete Rousse, skąd zaczynali atak szczytowy, wymagało od nich pokonania sporych przewyższeń i konkretnego wysiłku.

A to, czy faktycznie nasza czwórka jako jedyna w tym sezonie pokonała „Drogę Papieską”? Nie wiem, ale nawet jeśli nie, to na pewno byliśmy jednymi z nielicznych.

Moim zdaniem poza wszystkim tym co sami włożyliśmy w tę wyprawę aby się udała, kluczem do sukcesu były dwie sprawy niezależne od nas. Pierwsza to pogoda, o której byliśmy na bieżąco informowani smsami przez nieocenioną Anetę. Dzięki tym informacjom mogliśmy dopasowywać plan działania do istniejących warunków. A druga sprawa to ślady pozostawione przez schodzącego tamtędy w niedzielę przewodnika. Pokonanie lodowca za pierwszy razem – właśnie po tych śladach – dodało nam pewności siebie i pozwoliło na samodzielną walkę w dniach kolejnych.

Przygoda zakończona. Udajemy się na pole namiotowe. Czas na

prysznic – pierwszy od tygodnia. Najlepszy prysznic w życiu.

-END-

Dziku